

G. DE TERAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

10

(Ciąg dalszy).

— Nie chciałby mi pan, drogi Newtonie, pomóc w tem?

— Z chęcią, gdybym nie był tak zmęczony, drogi przyjacielu, pozwolisz mi więc, że udam się na spoczynek...

— Proszę! — odrzekł niechętnie inspektor. — W istocie bowiem nie potrzebuję żadnej pomocy... do widzenia, Newton!...

— Do widzenia, Lapipe!... Życzę powodzenia!... I detektyw, uściskawszy rękę swego kolegi, oddalił się.

Przez chwilę szukał jeszcze w tłumie domina różowo-czarnego, by uprzedzić je o swym odejściu. Nie spostrzegając go jednak nigdzie i przypuszczając, że baronowa już wróciła do siebie, uczynił to samo, podczas gdy Lapipe rozpoczął poszukiwanie swego mandaryna.

Przewidział jednak to Paweł de Vareilles.

Jak tylko obydwaj urzędnicy policyjni zeszli się razem, zrzucił z siebie w bocznym pokoju strój mandaryna, pod którym miał na sobie ubiór arlekin.

Bezpieczny w tem nowem przebraniu widział dokładnie, jak Boer szukał go uporczywie po wszystkich salonach i jak wreszcie zaniechawszy swych daremnych wysiłków, odjechał do domu.

XI.

Szczególny zakład.

Na drugi dzień rano baronowa wstała pełna lęku, dziwiąc się, dlaczego attaché nie przybył na naznaczone przez siebie *rendez-vous*; z niepokoju tego wywiódł ją dopiero Newton, który przed odjazdem do Ameryki przyszedł pożegnać się z swą klientką.

Postarał się wytłumaczyć jej, że astrolog dla tego tylko nie zjawił się na balu, ponieważ, przeczuwając obecność tam Lapipa i jego agentów, odłożył spotkanie do odpowiedniejszej pory.

Piękna Rosyanka zaczęła nabierać już otuchy, gdy zaanonsowano hrabiego Fraskopelly. Znowu ogarnęła ją trwoga. Jeżeli kapitan zapomni o wszelkiej roztropności, która zabraniała mu pokazywać się u baronowej poza godzinami ogólnych przyjęć, to widocznie skłoniła go do tego jakaś ważna przyczyna.

— Prosić! — rzekła żywo.

Ponieważ detektyw chciał się oddalić, zatrzymała go.

— Proszę, niech pan zostanie... może będziemy potrzebowali pańskiej porady.

Po oddaniu niebiesko-żółtemu dominu koperty z pieniędzmi, attaché wyszedł zaraz z balu i pospiesznie odjechał ze swym cennym łupem do domu. Otworzywszy jednak pakiet, jaki mu mniemana jego współniczka wręczyła w zamian za pięćdziesiąt tysięcy franków, zdumiał się wobec widocznego oszustwa; zamiast planów, znalazł czyste arkusze papieru. Co to mogło znaczyć?

Na drugi dzień udał się zaraz do baronowej, by zażądać wytłumaczenia. Przy pierwszych słowach przerwała mu zaraz baronowa:

— Był pan wczoraj na balu?

— Naturalnie, jako biały zakonnik; tak panią uprzedziłem...

— Przepraszam, pan miał być jako astrolog, poprawiła go, pokazując mu bilet.

— Ależ ja nie ten pani dałem w teatrze! — zawołał Fraskopelly zmieszany.

I uderzając się ręką w czoło, dodał:

— Kim w takim razie było to domino niebiesko-żółte, które mi dało pakiet i któremu wsunąłem swą kopertę?... Ani chwili nie wątpiłem, że to pani!...

Tknięta przecuciem baronowa, podbiegła do swego biurka i po chwili wróciła z obwiązany i zalakowanym zwojem dokumentów. Jednym ruchem ręki zerwała sznurki. Nagle na twarzy jej zamalowało się przerażenie. Przed sobą ujrzała tylko stare dzienniki, włożone w noc zabójstwa bankiera przez Pawła de Vareilles. Oboje spoglądali na siebie przynębeni; wreszcie piękna Rosyanka zdołała wyszeptać:

— A jednak ja sama składałam to w kasie ogniotrwałej Korpstraussa... i sama to potem brałam... a tylko ja i on znaliśmy cyfrę, na jaką otwiera się ta kasa...

— Jaka to cyfra? — zapytał milczący dotychczas Newton.

— 24785.

— 785? — zawołał detektyw, przypominając sobie rozmowę, jaką miał z Lapipem w gabinecie sędziego śledczego — to była liczba zapisana na kawałku papieru, jaki po sobie pozostawił zbrodniarz w swym pokoju...

— Więc co? — zapytała baronowa, błędąc coraz bardziej.

— W takim razie — mówił dalej detektyw — musiało komuś zależeć na zawładnięciu tymi dokumentami, chociażby za cenę zbrodni!

Piękna Rosyanka nie dała mu jednak dokończyć myśli, lecz padła na fotel omdlała, jęcząc:

— Jestem zgubiona... policja wie wszystko!...

W godzinę potem, oznajmiwszy służbie, iż jedzie do Rygi, wezwana niespodzianie do chorej krewnej, siadała do pociągu, drżąc z obawy, by jej nie aresztowano. Dyrekcyja policyi, uważając za szkodliwe zawiadamianie prokuratora o pobudkach jej nagłego zniknięcia, rozesłała tylko do dzienników notatkę, z której można było domyśleć się, że niespodziewany odjazd baronowej spowodowany został pewną historią miłosną.

Po przetrzymaniu przez pewien czas w więzieniu członków Asa Kierowego, wypuszczono ich na wolność. Nie można ich bowiem było oddać sądowi, by nie rozgłaszać sprawy z ulicy Ramus, co do której należało również zachować milczenie.

Niemili natomiast los spotkał hrabiego Fraskopelly'ego, na którego dwuznaczne postępowanie poskarżono się przed jego rządem. Głównym zadaniem attaché wojskowych, jakich państwa wysyłają wzajemnie do siebie i utrzymują przy swych ambasadach, bywa zdobycie tajemnic wojskowych danego mocarstwa. Wszystko zależy od uniknięcia podejrzeń policyi. Przy pierwszym niepowodzeniu, odwołuje się ich zaraz. To stało się właśnie z niezręcznym kapitanem. W dwa tygodnie po zniknięciu baronowej otrzymał już rozkaz udania się do pułku swego, stojącego załogą w jakimś małym miasteczku. Przed opuszczeniem Paryża na zawsze, zaprosił kilka osób, bliższych swoich znajomych, na pożegnalny obiad.

Przy stole, przybranym kwiatami, w najmodniejszej restauracyi, zasiedli książę Visconti, hr. Otto de Schlakemburg, książę de Vaintrilles, pułkownik Poziabeneff, bogaty Amerykanin Reginald Farweth, piękna śpiewaczka Róża Tremiere, belle Otero, Zuzanna Dervanne i Smintha de Fradesy, której wyższą jazdę podziwiał w Nowym Cyrku cały Paryż. Zabawa wśród licznych toastów odbywała się tak wesoło, iż już w połowie uczty goście z trudem tylko siedzieli na swych miejscach, każdy bowiem był już dostatecznie podchmielony. Przed podaniem lodów podniósł się kapitan Fraskopelly i uderzając w kieliszek, prosił o ciszę.

— Panie... Panowie... — zaczął niewyraźnym głosem — przed chwilą zrobiłem zakład z pułkownikiem Poziabeneff... i wszystkich proszę na świadków...

— Zgoda!... Dobrze!... — zawołało kilka głosów.

— Założyłem się — mówił dalej kapitan, trzymając się stołu, by nie upaść — założyłem się...

Nadużycie trunków nie pozwalało mu mówić. Chwiał się, tracił wątek, lecz ciągnął dalej:

— Założyłem się... że poślubię pierwszą blondynkę, którą spotkam jutro o trzeciej godzinie na prawym rogu ulicy Enghien i Faubourg-Poissonniere... pułkownik utrzymuje, że tego nie uczynię... a ja mówię, że tak...

Ta bezsensowna myśl, która mogła wylegnąć się w mózgu tylko przepojonym trunkami, znalazła głośnie uznanie u zebranych. Wszyscy podzielili się zaraz na dwa obozy, za jednym zakładającym się lub za drugim. Rozprawiano szeroko i każdy chciał narzucić swe zdanie innym, gdy zabrał głos Reginald Farweth, jedyny z gości, który nie stracił przytomności.

— Mój drogi kapitanie, nikt tu nie wątpi, że jest pan w stanie wykonać swój projekt... lecz na miłość Boską, niech go pan zaniecha!... może pan trafić nieszczęśliwie i potem będzie pan zmuszony poślubić jaką dziewczynę niegodną siebie, która zniesławi pańskie nazwisko i zgubi pańskie życie!... Ryzykować swą świetną przyszłość, psuć karierę tak nierozumnym zakładem, jest wprost szaleństwem... niech pan porzuci ten zamiar... pułkownik Poziabeneff pierwszy się na to zgodził!...

— I ja to radzę! potwierdził Otto de Schlakemburg, który już uprzytomniał.

Kapitan Fraskopelly jednak, prostując się i krzyżując na piersiach ręce, odparł dumnie.

— Mój drogi Farweth, zasługuje pan, bym posłał panu dwóch swych przyjaciół z żądaniem co-

fniecia tej zniewagi... niech pan się dowie, że hrabiowie Fraskopelly nie czynią nigdy nierozumnych zakładów... i nie przerywają nigdy!...

— Brawo, Frasko! — zawołała Róża Premiere, zachwycona stanowczością i zuchwalstwem hrabiego.

Zachęcony uznaniem pięknej kobiety, o której wdzięki starał się już oddawna, kapitan mówił dalej:

— W 1610 roku, jeden z moich przodków Chrystyan de Fraskopelly, kapitan dragonów królowej, założył się, że skoczy na koniu ze skały nadmorskiej z wysokości osiemdziesięciu metrów. Była to pewna śmierć. Skoczył i zabił się...

— Brawo! — zawołały aktorki, klaszcząc radośnie rękami.

— W roku 1715, mój przodek Eryk de Fraskopelly, pułkownik szwoleżerów, odznaczony za zdobycie pięciu sztandarów nieprzyjacielskich na jakiejś wojnie, założył się, że siądzie na otwartej beczce prochu i będzie palił fajkę. Była to okazja do wylecenia w powietrze. I wyleciał w istocie.

— I zabił się!... — dokończył flegmatycznie Amerykanin.

Kapitan ciągnął dalej:

— W roku 1840, mój dziadek Fryderyk de Fraskopelly, kazał sobie przynieść na obiedzie oficerów gwardyi kość do gry i rzekł: Panowie, przedstawiam wam taką propozycję. Kość tę rzucę do góry. Jeżeli upadnie na jedynekę, wypłacicie mi dziesięć tysięcy franków; jeżeli na dwójkę, pójde w kasu na głowie do Paryża na czworakach, jeżeli na trójkę, dacie mi pięćdziesiąt tysięcy franków; jeżeli na czwórkę, wypiję piętnaście butelek szampa; jeżeli na piątkę, oddacie do mej dyspozycji sto pięćdziesiąt tysięcy franków, któremi płacę dziesiątą część swych długów; jeżeli na szóstkę, biję się na szable z każdym z was po kolei.

— Zgoda! — zawołali wszyscy oficerowie.

— Dziadek mój rzucił kość do góry i...

— I nie upadła wcale! — roześmiał się książę de Vaintrilles.

— Przepraszam, na czwórkę...

— I wypił pański dziad piętnaście butelek?

— Bez wątpienia, mój książę; przeniesiono go potem do domu zdrowia, gdzie umarł... Panowie — dodał kapitan wśród czkawki — przyznacie, że mój zakład jest daleko łatwiejszy do wykonania... Jeszcze miesiąc pozostaję w Paryżu, starczy więc czasu, bym się ożenił... Naznaczam wam spotkanie przy tym stole za ośm dni, by podać nazwisko mej narzeczonej...

Nie mogąc już dłużej utrzymać się na nogach, siadł wśród ogólnego brawa biesiadników, coraz bardziej pijanych.

Na drugi dzień na trzy kwadransy przed trzecią zatrzymał się na rogu ulicy Enghien i Faubourg-Poissonniere wspaniały samochód, z którego wysiadło dwóch panów w tużurkach, cylindrach i jasnych rękawiczkach. Był to kapitan Fraskopelly z przyjacielem swym, hr. Otto de Schlakemburg. Trzymał on w ręku zegarek i liczył półgłosem: druga 57, ...druga 58... druga 59...

Potem zawołał nagle:

— Trzecia godzina!

W chwili tej wyszła z ulicy Enghien młoda, piękna blondynka. Była nią Żaneta Levasseur, która z wielkim pudłem w ręku odnosiła robotę swej klientce.

Piękna i wdzięczna w swej skromnej sukni, wyraźnie uwydatniającej jej zgrabne kształty, z promieniami złocistych włosów pod kapeluszem, szła wesoło i lekko, nie patrząc nawet na przechodniów. W chwili jednak, gdy skręcała z rogu ulicy Enghien na Poissonniere, skłonił się przed nią nisko jakiś mężczyzna i gdy ona zatrzymała się mimowoli, rzekł:

— Mam zaszczyt prosić panią o jej rękę!

Zdziwiona, sądząc, że ma do czynienia z jakimś waryatem lub żartownisiem, Żaneta wzruszyła tylko ramionami i chciała iść dalej, gdy jegomość ten zaczął mówić:

— Jako o łaskę proszę panią o wysłuchanie mnie. Nazwisko moje starczy do uspokojenia pani... jestem kapitan Fraskopelly, attaché wojskowy niemieckiej ambasady...

Żaneta nie była zbyt przystępna i nie pozwalała zaczepiać się. Odparła też żywo:

— Kimkolwiekby pan był, proszę zostawić mnie w spokoju...

Kapitan nie uznał się jednak za zwyciężonego, lecz nalegał dalej:

— Pani... stanowisko... wielki majątek... mój ojciec jest księciem... kawaler Dworu... mówię zupełnie seryo...

— Panie, proszę zaprzestać tych żartów, gdyż zawołałam policyanta!

Kilku przechodniów, widząc młodego, eleganckiego